12. Kwietnia. **Nr. 24.** 1868 roku.

Wychodzi w niedzielę, z dodatkiem muzykaljów, mód, wzorów i krojów.
Cena:
kwartalnie . . . . 1 złr.
półrocznie . . . . 2 „
rocznie . . . . 4 „
Z dodatkiem:
kwartalnie 2 złr., półrocznie 4 złr., rocznie 8 złr. Za przesyłkę pocztową dolicza się 15 ct. kwartalnie.
Cena nr. z roku ubiegł. z przesyłką 60 ct.
— z dodatkiem 1 złr. 10 ct.

NOWINY

pismo tygodniowe
z dodatkiem muzykaljów i mód.

Listy *franco* przysyłać należy: „Do wydawnictwa „Nowin“ we Lwowie w drukarni **Kornela Pillera.**
Reklamacje nieopieczętowane nie opłacają się.
Ekspedycja i prenumerata miejscowa w Administracji „Gazety Narodowej.“

PO MORZU ŚRÓDZIEMNEM.

Obrazy z podróży

przez J. T.

V.

Z przedmieścia do Stambułu potrzeba się wybierać jak za morze, co do pewnego stopnia usprawiedliwia zatoka Bosforu, jedno od drugiego oddzielająca; ale główną przyczyną tego jest zupełna różnica charakteru między dwoma siedliskami, i wypływająca ztąd odrębność potrzeb i interesów. Europejskie przedmieście jest kalejdoskopem, w którym najróżnorodniejsze żywioły zachodnie i wschodnie mieszają się z sobą, kombinują się w najrozmaitszy sposób i wydają tę pstrą, hałaśliwą, na wpół dziką, na wpół europejską panoramę.

Dopiero Stambuł ma czysto turecką, wschodnią powierzchowność. Ulice szersze niż na przedmieściach są zwykle puste i samotne. Czasami tylko wzdłuż białego muru, z ponad którego wierzchołki drzew ogrodowych wyglądają z wdziękiem ale i z niejakim smutkiem, lub posępny cyprys wytryska w górę; czasami tylko wzdłuż takiego muru przesuwa się ciemna postać Turka i niknie na załomie. Czasami znów odezwie się smętny, przerażający jednostajnością swoją głos *muezzina* z wieży meczetowej, i wszystkie ulice, wszystkie mury zdają się wtórem jęczeć i skomleć żałośnie. Jęk *muezzina* to nie jest jęk energji przywalonej gruzami własnej pracy, skaleczonej do głębi, ale rwącej się jeszcze w górę, to nie jest nawet jęk rospaczy, znajdującej w samym bolu siłę do zwycięztwa lub rzucenia się w przepaść — jest to jęk nieświadomej siebie, nieporadnej boleści, płacz opuszczonego dziecka, wycie lwa konającego.

Czasami przed niską, ciemną i brudną kawiarnią w cieniu spotkamy grono Turków, rozsiadłych na niskich plecionych stołkach z nogami pod siebie na krzyż złożonemi. Drobne filiżaneczki gęstej, mocnej kawy spijają się wprawdzie powoli, ale bez przerwy; po wypróżnieniu jednej zjawia się natychmiast na jej miejsce napełniona druga. Na długich cybuchach osadzone fajki kurzą się wonnym dymem, ale nie wysełają przed się dużych kłębów dymu, jak to się dzieje u szlachty Berdyczowskiej. Przeciwnie, Turcy nie lubią pośpiechu nawet w dymie, więc nie pracują policzkami nad jak największem wydobyciem dymu, ale powoli, niepostrzeżenie ssą bursztynowe piersi, dostając z nich dymu strugę po strudze.

Rozumie się, że całe grono milczy — bo i o czem tu wreszcie mówić? Czyż słońce nie jest tak złote jak wczoraj? czyż nie wędruje po tem samem niebie błękitnem? Czyż minarety nie stoją na dawnych miejscach, a muezzin czyż nie obwieszcza z nich kilka razy na dzień wielkość i chwałę Allaha i mądrość proroka? Czy Padyszach nie panuje już nad wiernymi i zostając w bliższych stosunkach z Allahem, czyż nie myśli za wszystkich i o wszystkiem, albo raczej, co jest i pewniej i lepiej, czyż nie składa losów całej Turcji w ręce pewniejsze i mędrsze od swoich, bo w ręce tegoż Allaha?

Więc o czem tu mówić? Czy o pogodzie dzisiejszej, lub o niezdrowiu wczorajszem? Mająż mówić o plotkach haremowych i zakotarowych tajemnicach, o których wie tylko Allah na niebie, kindżał za pasem i oczy huryski pod zasłoną? Czy mają na wzór naszych przekupek salonowych ogadywać nieobecnych przyjaciół i mizdrzyć się do obecnych nieprzyjaciół? Czy mają naśladować Francuzów, którzy potrafią mówić o wszystkiem od razu: o polityce i o sposobie przyrządzania ostryg, o wiekuistej chwale Francji i o trzydniowej modzie Paryża, o filozofji i o gryzetkach przedewszystkiem?... I wszystkiego zlekka tylko dotykając, zestawiają z dziecinnym kaprysem najrozmaitsze przedmioty, i śmieją się z tego, że nie są wszystkie podobne do siebie, a czasem śmieją się, ot tak, z dobrej woli bez żadnej wyraźnej pobudki? Mająż ich Turcy naśladować? Czyż to Allah stworzył ten świat na śmiechy i żarty dla ludzi? Nie zdaje się to wcale Turkom; więc wolą milczeć, i w milczeniu popijać kawę, i zwolna ssać mlecz tytoniową z bursztynów.

Koło godziny jedynastej zrana wybrałem się z Mackiem do Stambułu. Wyszliśmy dla tego tak wcześnie, że trzeba było myśleć o powrocie ztamtąd przed wieczorem; wieczorna bowiem wędrówka po Stambule wydawała się nam czynem herkulesowym, wymagającym sił odpowiednich ku jego podjęciu. Znalazłszy się po drugiej stronie mostu, zwróciliśmy się naprzód ku katedrze świętej Zofji, zwanej zturecka Aja Sofja. Na obszernym, brukowanym dziedzińcu, murem dokoła opasanym wznosi się ta niewolnica bizantyjska, z czterech stron przez cztery wysokie minarety strzeżona. Turcy nie bawili się w przerabianie tego potężnego gmachu; nie mając własnego odrębnego stylu w architekturze i ani trochę klasycznego poczucia piękna, gotowi są z równą obojętnością zamieniać Propyleje ateńskie w koszary, jak zamienili bazylikę w meczet. Wzięta do niewoli przez Turków Aja-Sofja musiała natychmiast zapomnieć o swoim Bogu i zacząć modlić się do Boga zwycięzców. Brakowało jej tylko minaretów ku lepszemu głoszeniu sławy i potęgi Allaha, i oto na skinienie sułtana trysnęły z czterech jej rogów cztery smukłe i wysokie wieżyce.

A jednak choć Aja-Sofja prócz minaretów nie ma nic tureckiego w sobie, będzie to kiedyś najwymowniejsza i może jedyna pamiątka panowania Turków w Europie.

Egipcjanie zostawili po sobie piramidy i sfinksy, Grecy całe bujne życie swoje przeleli w arcydzieła i nam je przekazali, po Rzymianach zostały nam po całej Europie szczątki kolosalnych gmachów, dzieł potężnej i umiejętnej siły zbiorowej. Każdy z dzisiejszych narodów Europy, niknąc w jakiś sposób z powierzchni ziemi, lub wynosząc się z dawno zamieszkałego przez się kraju, zostawiłby po sobie trwałe i wyraźne pamiątki. Tymczasem gdyby pewnego pięknego poranku ujrzał się półwysep Bałkański ogołoconym ze swoich dzisiejszych panów, to prócz minaretów świętej Zofji i innych drobniejszych wieżyczek, cóżby zostało po Turkach? Oto tylko kupa śmiecia, a w niej może złoty naszyjnik haremowej niewiasty, a na szczycie tego śmiecia para jaskrawych zmiętych pantofli tureckich.

Czy ja chcę obwiniać Turków? czy może chcę obwiniać islamizm? Ani jedno, ani drugie. Turcy są nawskróś koczującym narodem, nawet przy swojem dziś osiadłem życiu. Budować dzieła obliczane na całe wieki, nie wydaje się im rzeczą właściwą; zresztą artyzm nie należy do niezbędnych potrzeb tego narodu. Co zaś do islamizmu, to nie mogą rzucać nań kamieniem ci, co choć trochę obeznani są z cywilizacją arabską i mauretańską, szczególnie z tą ostatnią, która nieobliczone wpływy wywarła na średniowieczny ruch umysłów w Europie.

Od Aja-Sofja udaliśmy się na rynek, czyli bazar stambulski. Jest to sieć krytych długich i obszernych kurytarzy, istny labirynt, w którym niechybnie potrzebaby zabłądzić bez świadomego miejscowości przewodnika. Na moje szczęście Macek był właśnie takim przewodnikiem.

Wszedłszy do bazaru z gorącej, rospalonej od słońca ulicy, zauważaliśmy zaraz przyjemną różnicę w temperaturze. Najprzód drewniane nakrycie u góry strzegło od słońca, powtóre rozlewana co chwila woda po chodnikach odświeżała i ochładzała powietrze. Po obu stronach korytarzy ciągnęły się sklepy o najrozmaitszych towarach i kupcach. Berło tu jednak trzymali Grecy, potomkowie Achillów i Peryklesów. W ich rękach łokieć stał się dziś straszną bronią, ale nie dał im wcale zaszczytnego rozgłosu. Już u starego Homera Grecy słyną z obłudy, a wielki Odyssej jest bardzo mądrym, ale go nikt nie prześcignie w obłudzie i kłamstwie. Dzisiejszym Grekom podobno już tylko obłuda pozostała po swoich ojcach jenjalnych w spuściznie. Smutna sława, której doczekują się zwykle ludy próchniejące w niewoli i ciemnocie!

Do bazaru zbiegł się cały handel Stambulski, a nietylko handel, lecz i przemysł zarazem. Jest to rozumie się, przemysł turecki, przemysł bardzo naiwny i skromny, polegający na wyrabianiu grzebieni, fajek, bursztynów, cybuchów i t. p. rzeczy. W dwoje zgięty Arab z nogami na krzyż pod siebie złożonemi, i jakimś mizernym nożykiem w ręku zastępuje tu wszelkie machiny, wszelkie czynniki fabryczne Zachodu. Jest taka fatalna ospałość w pozycji jego członków, w jego powolnych i tylko niezbędnych ruchach, w jego znękanem oku, że mimowolnie zatrzymałem się przed nim, i z jego pięknej, choć wywiędłej twarzy wyczytałem całą teorję fatalizmu, całą religję Wschodu, z jej Bogiem, który czy to się nazywa Allahem u Mahometan, czy Jehową u Hebrejów, zarówno wszakże jest nieubłagalnym i srogim w zapalczywości swojej, i dziwnych często dobiera sposobów dla okazania swej predylekcji wybranym. Na twarzy mego Araba tkwił wyraz tej niemocy i tego moralnego znękania, które spotęgowane do szczytu wyrwały Ojcu zadżumionych ten potężny i boleścią przerażający hymn:

O Allah! Albarallah! jesteś wielki!

Islamizm jest najszczęśliwszą religją dla zwycięzców i silnych, bo niczem nie krępuje ich siły, a przeciwnie dając jej boskie pochodzenie, ubóstwia ją do pewnego stopnia i robi nieodpowiedzialną w obec niczego na świecie, oprócz samej siebie, to jest swego boskiego pochodzenia. Ale dla nieszczęśliwych i zwyciężonych jest ciężką ręką despoty, która ustom każe zamykać się przed wyrywającym się na zewnątrz jękiem, dla niewolnika jest kajdanami na wieki zamkniętemi, bo mu nakazuje widzieć wszędzie palec boży, i kornie czoło przed nim chylić. Dla tego też ludy wschodu, cierpiące dziś wszelkie klęski ciemnoty i nędzy, muszą się skąpać i orzeźwić w pojęciach Chrześcjanizmu, jeżeli mają wyjść z tego rospaczliwego stanu obezwładnienia, w jakim zostają od czasu, kiedy ze zwycięzców i pogromców świata zeszły na niewolników i nędzarzy. Tylko chrześcjanizm każe pęta kruszyć niewolnikom i bierze pod skrzydła swoje zwyciężonych. Potrzeba tylko, ażeby nie był wykładnym i objaśnianym przez zwycięzców.

Po długiej wędrówce pomiędzy sklepami, zaszliśmy na odpoczynek w stronę bazaru, wówczas najbardziej ponętną dla mnie, w stronę, gdzie sprzedawano owoce. Piramidy rodzynków, migdałów, fig, daktylów i innych łakoci Wschodu przemówiły do nas tak mile, żeśmy za kilka piastrów urządzili ucztę owocową, a zważając iż taniość owoców jest tam niezmierną, można się łatwo domyśleć, że uczta była nader obfitą.

Wracając ze Stambułu do domu, zaszliśmy do bardzo pięknego ogrodu, który czy był publicznym, czy nie, do dziś nie wiem dobrze. Stojąca u bramy straż wojskowa zdawała się wskazywać na jego rządową przynależność i wzbraniać wejścia niewzywanym, jednakże, gdyśmy przy pewnej dozie zuchwałości, która sama przez się powstaje na gruncie tureckim, ośmielili się wejść do ogrodu, straż nam bynajmniej nie starała się przeszkadzać.

Macek oświecił mię, iż ogród ten należał dawniej do pałacu sułtańskiego, który tuż nieopodal wznosił się nad brzegiem Bosforu. Pałac, który był właściwie haremem spalił się przed dwoma laty, i dziś tylko białe zgliszcza sterczały. Zapragnąłem zobaczyć tę ruinę, i udaliśmy się ku niej.

Była to już więcej kupa kamieni, niżli ruiny, z których by można było odbudować dawniejszą całość. Trudno przypuścić, ażeby sam ogień mógł ten budynek do takiego zniszczenia doprowadzić; zdawało się, że ręka ludzka musiała tu gospodarować jeszcze po pożarze. A jednak, mimo tak ogólnego zniszczenia, w dole pomiędzy gruzami biała marmurowa sadzawka była ani trochę nie uszkodzoną; obok niej leżało kilka słupów i innych ozdób gipsowych także nienaruszonych prawie. Kamienie waliły się i tłukły... gipsy ocalały — oto zagadka często przez los rzucana!

Usiadłem na jednym z kamieni rozrzuconych bezładnie, i patrzałem na otaczające mię zgliszcza. Macek stał koło mnie, i widać znudzony moje milczącem rozmyślaniem zapytał mię nagle i nie bez pewnej wesołości:

— Czy znasz historję tego haremu? Przez kogo został założonym?

— Nie — odpowiedziałem — ale też i nie pragnę się dowiedzieć wcale.

— A przez kogo został spalonym?

Na te słowa podniosłem zapytująco głowę. — Macek był zadowolony z wrażenia, które wywarł na mnie swojem zapytaniem.

— Więc jesteś ciekawy? — powiedział.

— Skądże ty znasz tę historję? — zapytałem.

— Nie pytaj oto, a posłuchaj.

To mówiąc usiadł przy mnie, i tak mówić zaczął:

(C. d. n.)

PRZEZ DOLINĘ LOMBARDJI.

Jako strzała namiętnie z cięciwy puszczona,
Karawana pojazdów z łoskotem się toczy.
Wiatr się zbudził drzemiący — wytęża ramiona,
Ażeby wstrzymać siłę, co pcha jak szalona...
Nie wstrzymał — chwycił dymu splot brudnych warkoczy.

Białe wille, ogrody, łąki i winnice
Wabią słodkim uśmiechem ku sobie. — Ach piękne!
A najpiękniejsze z okien patrzące dziewice —
Spojrz na tę! Wieki całe patrzeć by w jej lice!...
Pociąg jęknął mijając — Czyliż ja nie jęknę?

A więc poco pędzimy, gdy tak pięknie w koło?
Czemu zwolna nie jedziem, tak wolno, by ręką
Zrywać kwiaty, co ku nam z ogrodów wesoło
Wyglądają, i w dziewic patrzeć jasne czoło?
O, ta jazda szalona jest Tantala męką!

Nie tak myślał mój sąsiad. — Zegarek z kieszeni
Wyjął — patrzał i pociąg nazwał *maladetto!...*
Spojrzałem nań zdziwiony. — Czas się drogo ceni,
Rzekł do mnie — kupiec jestem, jesteśmy w jesieni...
O nie jechać ci z kupcem na wozie, poeto!

J. T.

DO * * *

Ach! ty żądasz moja luba,
Bym Cię jak posąg Madonny,
Czcił, ubóstwiał i uwielbiał —
A jam do tego nie skłonny!...

Ty mi podaj twoją rączkę,
I wzorem hiszpańskiej Donny
Słodziutkiego daj całusa,
Bom do tego — bardzo skłonny!...

Skromne żądanie.

Przy cudnym blasku księżyca,
W nocy dziwnie poetycznej,
Przysięgałem na kolanach
Wieczną miłość mojej ślicznej.

„Każ mi w ogień skoczyć, luba!
„Utop sztylet w mojem łonie,
„A ja umrę tu, bez skargi,
„Znajdę roskosz w takim zgonie!...“

Ona — cała w zamyśleniu,
Pyta mnie, pieszcząc warkoczyk:
„Gdy pójdę za Ciebie, drogi,
„Kupisz mi wiedeński koczyk?“

Kraków 1. kwietnia. *Stach.*

Z pamiętnika.

Kulików.

(Wyjątek.)

(Dokończenie).

To o kościele. Może ujrzeć chcecie
Jak ratuszowy wygląda budynek?
O, tu już dajcie oszczędzić poecie
Rymu. — Cóż więcej?... a! jest jeszcze rynek!
Miejsce, gdzie miejskie pomieszcza się śmiecie,
I gdzie mu wieczny służy odpoczynek,
Gdy je łaskawszy na miasta porządek
Nie sprzątnie popęd nierogich zwierzątek.

Zresztą już chatki niskie i ułomne
Tulą się jakoś i od złej przygody
Bronią wzajemnie. Wszystko to tak skromne,
Że światu pewnie nie zamąci wody!
A przecie! dusze tu żyją potomne
Tych, co daleko za swoje zagrody
Szły, by z bogatym podzielić się Lachem
Krwią i dobytkiem... co były postrachem!

Ciekawe bardzo na ludziach zjawisko!
Co to się stało z miejsc tych krwawym wrogiem!...
Snadź anioł ziemi nowej, nad kołyską
Staje człowieka, i z tym nowym progiem
Kojarzy serce, i nowe siedlisko
Zaludnia jemu nowym, swojskim Bogiem —
Aż tę krew wrogą z czasem udobrucha,
Że go jak niańkę nową już usłucha.

Takie to dzieje przechodził mieszkaniec
Tutejszy; praca ziemi i stuleci
Zmieniła duszę — dziś już nie pohaniec
Patrzy z tych ludzi — choć typ jeszcze świeci
Tatarski w rysach, to znać że nie „w taniec“
Więcej! — Miasteczko założył Jan trzeci.
A choć w tych duszach dziś już Krym zamiera,
Nie zgasła przecie pamięć Bohatera!...

Bronisław Komorowski.

Pan Marek.

Obrazek stereotypowy.

III.

Bohater nudzi się.

Idźmy za naszym nieznajomym amatorem białych róż i fiołków.

Opuściwszy ławeczkę z kwiatami, podążał wprost ku kamienicy, którą ›białej róży‹ wskazał jako miejsce swego pomieszkania. Jeszcze kilka razy rzucił okiem za siebie na ławkę, jakby mu żal było stracić ją tak prędko z oczu, i wszedł do obszernej sieni kamienicy. Kamienne

wschody prowadziły na drugie piętro. Na drzwiach nr. 9. był bilet z napisem:

M a r e k J a r c z y ń s k i.

Tam wszedł nasz nieznajomy — a był to nie kto inny, tylko znany nam nieco pan Marek, który przed rokiem zostawiwszy w rodzinnym domu sędziwą matkę i Marję, wyjechał do Paryża.

Z zajęć jego całorocznych w stolicy Francji trudno by nam było zdać sprawę. Nasz bohater pędził życie, które może wielu nazywa przyjemnem... życie wygodne, bez trosk o przyszłość, goniące za rozrywkami i zabawą... A że w Paryżu nie mało ku temu nastręczało się sposobności, więc nic dziwnego, że dwanaście miesięcy minęło dość prędko. Opera, balet, cyrk i tańce wypełniały najgłówniejsze chwile w życiu Marka. Zrazu, rzuciwszy się z całym zapałem w to życie gwarliwe, wesołe, szalone, liczył godziny, które mógł poswięcić na napisanie kilku słów do matki. Korespondencje te zazwyczaj bywały krótkie, pisane naprędce; kilku słowy zaledwie odpowiadały na łzy i błogosławieństwa, któremi sędziwa matka zapełniała długie swoje listy do syna. Pytała w nich po dziesięć razy o zdrowie, o zatrudnienie, o zabawy, przyjemności, jakim jej syn się oddaje; a w odpowiedź odbierała od Marka krótkie bileciki, donoszące obojętnie, że czas mu przyjemnie upływa, ale na czem? — o tem on sam zapewne nie wiele wiedział!...

Do Marji nie pisał nigdy. Nie myślał o niej w Paryżu, więc może i zapomniał. Na zapytanie z domu: kiedy powróci? odpowiadał, że nie wie. Dworek rodzinny w Brzozowie zakrywał się coraz to większą mgłą w duszy jego, a z wspomnień dziecinnych mało co pozostało. Bardzo rzadko wracał pod niską strzechę domu, a cóż dopiero w chwile przepędzone tam niegdyś?...

W jednym z listów matki było kilka słów o Marji. Biedna staruszka nie pożegnała się jeszcze ze swojem ukochanem marzeniem. Myśl, że ostatnie chwile życia spędzi kiedyś u boku szczęśliwej pary: Marka i Marji nie opuściła jej dotychczas. Więc w listach swoich do syna napomykała lekko o stosunku jego do Maryni, o swoich najserdeczniejszych życzeniach...

Jakgdyby przez sen, przez mgłę zapomnienia stanęły przed Markiem blade wspomnienia z pierwszych chwil dziecięcych. Jasnowłosa Marynia z łzawym, przecudnym wzrokiem, ulubiony niegdyś ogród, kląby z kwiatami, pamiątki z róż i jaśminu i uwiędłe liście...

Pod rozłożystemi lipami, na małej brzozowej ławeczce siadywała tam niegdyś matka; Marynia u stóp jej czytała ulubioną ›Marję‹ Malczewskiego. Za sinym borkiem, za wioską chowało się słońce; matka szeptała wieczorne pacierze, Marynia biegła do swego gospodarstwa... Już głos jej dźwięczny rozlega się po podwórku: stada drobiu oblęgają młodą gospodynię... Z dziecięcą naiwnością pieści się dziewczę z czubatą kurką, karmi ją ziarnem z białej dłoni... Dzwoniąc kluczykami biegnie do spiżarni... była już w kuchni, i krząta się teraz koło swoich kląbików, podlewa ulubione kwiaty... Więc piosenka rozlega się po ogródku, i płynie w dal głośne echo... Uradowana staruszka słucha... woła dziewczę do siebie... Tuli ją do piersi, całuje w białe czoło... Marja ze łzami w oczach przyciska jej rękę do ust...

— Marku — mówi matka — widzisz, jak ona kochać potrafi...

Zarumienione dziewczę kryje główkę na łonie staruszki. Matka całuje ze wzruszeniem głowę syna, i szepcze:

— Marku! po mojej śmierci, więcej od Marji, nikt cię kochać nie będzie...

. . . .

Obrazy zasunęły się mgłami. Marek ziewnął i był prawie pewnym, że to wszystko śniło mu się kiedyś, ale bardzo, bardzo już dawno... Sny te wydały mu się nader trywjalnemi. Szesnastoletnia Beatrix, otoczona kurami, wśród stada indyków i gęsi... spiżarnia, kuchnia i gospodarstwo... to bardzo, bardzo nudne!...

Tak pomyślał sobie Marek, i drugi raz ziewnął.

— Inaczej w Paryżu!... Wielki świat!... Życie w całej pełni... Tu dopiero swobodniej mogą oddychać piersi!... Paryż — a Brzozów!... Co za porównanie!...

I zaśmiał się z całego gardła.

— Wspomnienia dziecinnne... fraszki... głupstwa!... Miłość w piętnastym roku życia... Ha! ha! ha! klasyczne owe przysięgi miłośne i pamiątki z kwiatków i wstążeczek...

Ziewnął po raz trzeci.

— I Marja musi się zapewne dziś śmiać z pustoty... Dzieciństwo!... bo i jakżeż inaczej bawić się, będąc dziećmi?...

Tak tłumaczył sobie pan Marek przeszłość, odczytując listy matki, i zabierał się do odpowiedzi, donosząc krótko o zdrowiu swojem, i prosząc o przysłanie pieniędzy. W końcu listu zasyłał Marji ›piękne ukłony.‹

Tak stały rzeczy z panem Markiem, gdy ›biała róża‹ szczególniejsze wrażenie wywarła na umyśle naszego bohatera. Wrócił do domu w dziwnym jakimś humorze, a przed oczyma migały mu ciągle fijołkowe oczy kwiatarki... Nie rozumiał siebie... Był niekontent, niezadowolony... Skarcił bez przyczyny lokaja, i rzuciwszy się w fotel, zaczął przeglądać żurnale. Myśl jednak odrywała się ciągle od białych kartek dziennika.

Nie długo był w domu. Po kwadransie wyszedł na bulwar, i bezwiednie skierował swe kroki ku znanej ławeczce. Nikogo jednak nie zobaczył; ławka była pusta kilka kwiatków podeptanych i uwiędłych leżało pod kasztanem.

Marek, jak widzieliśmy, nie był już mocno romansowego usposobienia, i nie przywiązywał zbytniej wagi do tego rodzaju pamiątek miłośnych, jak kwiatki i t. p. Ujrzawszy jednak wiązankę fijołków na ziemi, podjął ją skwapliwie.

W jakim celu? Na to trudno znaleźć odpowiedzi.

Przypatrując się uważnie fijołkom, może myślał o fijołkowych oczach kwiatarki... Dość, że powrócił w gorszym jeszcze humorze do domu. Nie spał tak smacznie jak zwykle, a obudziwszy się nazajutrz rzucił wzrokiem na wczorajszy bukiet fijołków.

Dziwny uśmiech zaigrał mu na ustach.

— Cóż to Marku — zapytał sam siebie — Miałżebyś?...

I zaśmiał się głośno...

Zaśmiał się, bo dziwaczna myśl przeszła mu przez głowę.

Popatrzył na zegarek. Była godzina dziesiąta. O czwartej miał kupować kwiaty od »białej róży« na *boulvard de Gand*. Było więc jeszcze pięć godzin czasu. Ubrał się w szlafrok, kazał przynieść śniadanie, zapalił fajkę, i przeglądając żurnal starał się jak najprędzej czas zabić. Godziny jednak, jakby umyślnie wlekły się żółwim krokiem... Zaczął się ubierać. Przesiedział przed lustrem godzinę, zawiązywał krawat pół godziny, a kiedy zaciągnął paletot, mały, zgrabny zegarek, stojący pod dzwonem szklannym na biurku uderzył czwartą godzinę.

— Bawmy się!... — powiedział sobie nasz bohater, i zapaliwszy wonne hawannah — wyszedł na ulicę.

Obok ławki pod kasztanem stała »biała róża,« i niespokojnym wzrokiem rzucając przed siebie, zdawała się kogoś oczekiwać. Na ławce był koszyk z kwiatami.

Marek ujrzawszy ją, zbliżył się. Rumieniec okrył twarz dziewczęcia; cała drząca i zmieszana schyliła główkę, jakby szukając czegoś między kwiatami.

— Jak się masz, biała różyczko!...

— Dziękuję... — brzmiała cicho odpowiedź.

— Czy masz dziś wiele kwiatów?

Róża popatrzyła wdzięcznym wzrokiem na Marka; lecz gdy jej oko spotkało się z jego spojrzeniem, dziwne drzenie przebiegło po całem jej ciele...

Zmieszana bardziej jeszcze, szepnęła:

— Mam dla pana kilka pięknych róż...

Nie wiedziała co się z nią dzieje... Nie mogła oczu podnieść z ziemi... Drżącą ręką rzuciła mu bukiet prześlicznych, białych róż pod nogi, i zawiesiwszy koszyk przez ramię, znikła w tłumie przechodniów.

Marek źdźiwiony, podjął ofiarowany mu bukiet róż; z pomiędzy kwiatków wyleciał biały jakiś papierek. Podjął go; rozwinął z ciekawością: była to — pięcio-frankówka.

*
* *

Nazajutrz o tym samym czasie nie znalazł już Marek kwiatarki na bulwarze. Mały tylko George stał zdaleka od ławki smutny, zamyślony... i dziwnie spoglądał na nieznajomego...

Trzeciego i czwartego dnia i George'a nie wiedział Marek na bulwarze.

Tak minęło dni kilka.

Marek był zły i niekontent, a sam sobie nie mógł zdać sprawy z swojego niezadowolenia. Całemi dniami chodził po bulwarze, a przed oczyma migały mu ciągle fijołkowe oczy kwiatarki...

Pewnego wieczoru wyszedł później niż zwykle. Potrącał przechodniów, i zatopiony w myślach szedł przed siebie. Na plantacjach było już pusto. Przeszedł koło ławeczki pod kasztanem — nie było nikogo. Nie zrobił więcej jak kilkadziesiąt kroków dalej, gdy pomiędzy drzewami mignęła się jakaś sukienka. Zbliżywszy się poznał Różę.

Dziewczę usłyszawszy kroki za sobą, oglądnęło się, i jakby przelęknione jęło uciekać.

Nie trudno mu było dopędzić uciekającą.

— Różo!... różyczko... przecież cię znalazłam!...

Dziewczyna była bliską omdlenia. Zbladła jak śnieg.

— Panie... — szeptała zcicha — Odejdź! ja się pana boję...

— Jakto? Różo! różyczko!...

— Puść mi pan rękę!... nie patrz się tak na mnie!...

— Różo... — szeptał Marek, cisnąc jej drobną rączkę w swoich dłoniach — ty nie wiesz jak mi było źle bez ciebie... Od pięciu dni szukam cię, niedobra!...

— Mnie? — zapytała dziewczyna, a w głosie jej przebijała trwoga i źdźiwienie.

— Tak jest, Różo... ciebie... bo ty musisz być moją... Ja cię kocham...

— Pan?... — Dziwny był wyraz jej oczu, gdy rzuciła pytanie; ale za chwilę potrzęsła głową.

— Nieprawda!... — rzekła — Mnie nikt nie kochał na świecie... mnie nikt kochać nie będzie!... Za cóż mię kochać?

— Różo... posłuchaj...

— Pan żartuje... Cha, cha, cha! Mnie? mnie kochać...

— Różo! — zawołał Marek gwałtownie, i gdyby mógł być bardziej spokojnym, uczuł by w sobie przyśpieszone bicie serca. — Różo! Więc ty mi nie ufasz?... — Silnie przycisnął ją do piersi, i wzrok pałający w jej oku utopił.

Róża nie odpowiedziała już nic... Lica jej zbladły, na czoło wystąpił pot kroplisty, usta ścisnęły się gwałtownie... bez władzy opuściła ręce, głowę chyląc na piersi Marka...

Z za drzew ozwał się w tej chwili śmiech jakiś dziwny, przerażający... Marek odwróciwszy się, ujrzał za kląbami czarne, świecące się oczy George'a... (C. d. n.)

O kierunku nauk społeczno-politycznych.

Zwyczajem tradycyjnie przyjętym porównują życie ludzkie do sfinksa Edypowego, który rzucał przechodniom ciemne zagadki, i pożerał każdego, kto takowych rozwiązać nie potrafił. Chociaż porównaniu temu nie zbywa na pewnej trafności, wyznać przecież potrzeba, że nie pod każdym względem jest ono słusznem. Niezawodnie, że życie ludzkie badane ze strony metafizycznej, w odniesieniu do kwestyj o pierwszych przyczynach i ostatnich celach, jest jednem z najciemniejszych i najtrudniejszych zagadnień dla umysłu ludzkiego. Wszakże, jeżeli już koniecznie trzeba je porównywać do sfinksa, to chyba do jednego z owych, co stoją na krużgankach świątyń egipskich, i swojem uroczystem milczeniem i dziwną powagą wprawiają widza w zadumę pełną grozy i tajemniczego uroku, a ciekawość, coby wszystko chciała zbadać, do rozpaczy przywodzą.

Metafizyczna strona życia ważną odegrała rolę w dziejach przeszłości, występując pod postacią tej, lub innej religijnej wiary, tego lub owego filozoficznego systemu. Zażegając wojny, kojarząc sojusze, kierując wyrokami trybunałów świeckich i duchownych — była ona nieraz najgłówniejszą, ba nawet jedyną dźwignią dziejów ludzkości. Powaga jej dziś jeszcze jest nie mała, dziś jeszcze wywiera ona znaczny wpływ nie tylko na formy życia prywatnego, na kierunek usiłowań publicznych, ale nawet na politykę, kierującą losami narodów, udzielając jej swych natchnień. Wyznać przecież potrzeba, że czasy wyłącznego jej panowania nad umysłami przeszły niepowrotnie. Umysł

ludzki, wyzwolony z kurateli kościoła, zrażony czczością filozoficznych spekulacyj — niefortunnych poszukiwań prawdy absolutnej — w inną zwrócił się stronę, do innych zagadnień zmierza, dawszy za wygranę kwestjom metafizycznym, z któremi w końcu nie wie, co począć. Tą nową stroną jest rzeczywistość życia ludzkiego, przedstawiająca się zarówno w codziennych i wiekowych jego objawach, zagadnieniami temi są warunki owego życia, konieczne i rzeczywiste, jak one same.

Ujęte z tej strony życie jeżeli i jest Edypowym sfinksem, to zgodzić się potrzeba, że zagadki jego stają się codzień mniej tajemniczemi, bardziej zrozumiałemi, i że mądrość Edypowa przestała należeć do wyjątków.

Rzeczywistość życia i konieczne jego warunki, stanowiące wyłączny cel reformatorskich usiłowań polityków i socjalistów, są oraz przedmiotem naukowych badań. Te, rozpoczęte niedawno, a przynajmniej niedawno sprowadzone na właściwą drogę — cierpliwej obserwacji i ostrożnej indukcji, lubo nie mogą się pochwalić, że na wszystkie pytania, jakie życie nastręcza, dają dostateczną odpowiedź, doszły przecież do wykrycia kilku pomników, które żadnej nie podlegają wątpliwości, a które ważnością następstw, jakie z nich wypływają i swoją doniosłością praktyczną, stanowią fundamentalne prawdy nauki o człowieku i jego życiu, i wskazują kierunek, w jakim mają być przedsiębrane wszelkie pod tym względem badania.

Jednym z takich pewników jest ta prawda, zdobyta usiłowaniem bieżącego stulecia, że towarzyskość jest naturalnym stanem człowieka, że społeczne związki nie są dziełem wypadku albo wolnej woli, kierowanej refleksją, ale faktem, dokonanym pod wpływem samej natury ludzkiej, siłą parcia wszystkich czynników jego strony moralnej.

Prawda ta znaną już była Arystotelesowi, który dając definicję człowieka, nazywa go zwierzęciem towarzyskiem; nierozwinięta przecież i niewyjaśniona, pozostawiona w kształcie doraźnej definicji, nie wywarła ona żadnego wpływu na rozwój pojęć o życiu ludzkiem — i zaledwie powtarzaną była w sposób pamięciowy, jako dowcipny paradoks wielkiego człowieka. I jak gdyby nic pod tym względem nie było zrobionem, jak gdyby żadnych potemu nie miano wskazówek, przypuszczano hypotezy najdziwaczniejsze, wpadano na pomysły najzgubniejsze pod względem następstw, usiłując niemi wytłumaczyć naturę społeczeństwa i przyczyny jego wytworzenia się, wszystkie jego objawy wyjaśnić i polityce nadać kierunek, któryby odpowiadał naturze i charakterowi społecnych związków. Pomiędzy wszystkiemi temi hypotezami i pomysłami, najważniejsze znaczenie, tak dla talentu, z jakim zostały rozwinięte, jak i dla ich praktycznej doniosłości, mają te, które w swych doktrynach podali Hobbes i Rousseau. Jeden anglik, drugi francuz, lubo różnemi ożywieni uczuciami, do innych zmierzający celów, wyszedłszy z jednej i tej samej zasady, do jednakich doszli rezultatów, chociaż na pozór całkiem do siebie niepodobnych. Wspólną ich zasadą, ich punktem wyjścia, było to przekonanie, powszechnie ustalone w wieku XVIII., że naturalnym stanem człowieka jest stan odosobienia, że związki społeczne są rzeczą czysto ludzką, nic naturalnego w sobie nie mającą, są aktem namysłu i postanowienia ludzkiego Hobbes wychodząc z założenia, że egoizm stanowi istotę natury ludzkiej, i że społeczeństwo li kosztem poświęcenia, ofiary, jaką egoizm musi ponosić, może się wytworzyć i utrzymać, twierdzi, że społeczeństwo mogło tylko powstać pod przemocą gwałtu zewnętrznego. Jedna tylko przemoc mogła zmusić ludzi do przedsięwzięcia tego, co jest wbrew przeciwne ich egoistycznej naturze.

Doktryna anglika fałszywa w założeniu, okazuje się najzgubniejszą w swej konkluzji. Jeżeli bowiem tylko gwałt i przemoc zdołały wywołać społeczeństwo do bytu, a nie zdołały przecież odmienić natury ludzkiej — to dlatego, by społeczeństwo raz wytworzone, mogło się utrzymać w ciągłem trwaniu, potrzebną jest i niezbędną, nieustająca przemoc, któraby modyfikując egoizm ludzki, wymuszała na nim pewną dozę poświęcenia, jakiej wymagają warunki bytu społecznego. Jest to najlegalniejsze, bo drogą rozumu udzielone, uprawnienie i uświęcenie najbrutalniejszego dyspotyzmu, usprawiedliwienie wszelkich nadużyć rządu, który będąc jedyną dźwignią społecznego bytu, ma prawo uciekać się do środków, jakie uzna za dobre dla wzmocnienia swej władzy.

Jeżeli doktryna Hobbes'a wiedzie nieochybnie do despotyzmu dokonywanego przez władcę, jakich nam wschód w całej ich arbitralności pokazuje, to doktryna, której apostołem stał się Rousseau prowadzi do despotyzmu masy, większości, jaki znajdujemy w republikach starożytnej Hellady.

Rousseau wyprowadza początek społeczeństwa z aktu dobrowolnej umowy, *contrat social*, zawsze przyjmując w zasadzie ów stan natury człowieka, o którym nadmieniliśmy wyżej. Wszystkie związki społeczne, wszystkie stosunki w jakich ludzie stają do siebie, są dowolnemi, zależącemi całkiem od woli i upatrzenia ludzkiego. Wola ludzka, będąca najwyższą sankcją swych postanowień, tak pod względem prawnym, jak i moralnym, tak pod względem czynu zewnętrznego, jak i pod względem sumienia — sama zakreśla granice społecznym związkom, sama nadaje im ten, lub inny charakter, bez odwołania się do wyższej od siebie powagi. W społeczeństwie, uznanem za fakt dokonany, a więc prawny — wola większości nie tylko jest prawna dla mniejszości pod względem l e g a l n y m, ale nawet pod względem m o r a l n y m, a jak było w Grecji i pod względem religijnym. Jednostka, niepodzielająca przekonań prawodawczej większości, ma tylko jedno z dwojga do wyboru: albo ekspatrjować się, i wtedy dopiero potępiać prawo przez się nie uznane, poddać je pod sąd rozumu i doświadczenia; albo, zostając w kraju rodzinnym, znosić w milczeniu i z poddaniem się jarzmo, o którem nawet rozprawiać nie wolno, — inaczej czeka go los Sokratesa.

Doktryna ta, owoc marzeń i uwielbienia dla starożytnej Greeji, fałszywa w założeniu, logiczna w wywodach, niepraktyczna w konsekwencjach, całkiem niemożliwa w zastosowaniu, ma to w sobie niebezpiecznego i zgubnego dla ludzkości, że zdejmuje całą odpowiedzialność moralną z drugiego pokolenia, stanowiącego o swych stosunkach, za popełnione błędy, których następstwa ciężkiem spadają brzemieniem na pokolenia następne, że zrywa organiczny węzeł, spajający przeszłość, teraźniejszość i przyszłość w jedno pasmo konsekwentnie rozwijających się czynów, niszczy solidarność pokoleń, których działalność powinna mieć zawsze na pamięci, oprócz rezultatów doraźnych, na chwilę obecną przypadających, następstwa acz dalsze, późniejsze, nie mniej przecież od pierwszych konieczne i niezawodne.

Wiek XIX., mądry doświadczeniem przeszłości, bogaty w wiedzę, nabytą usiłowaniami na rozmaitych drogach badania przedsięwziętemi, przyszedł do przekonania, że ów stan natury,

będący dogmatem XVIII. wieku, jest istną mrzonką, która nic sobie odpowiedniego nie znajduje w rzeczywistości; że przeciwnie, towarzyskość jest istotną własnością natury ludzkiej; że jak pszczoła i mrówka, mocą konieczności, zakreślonej przez samą ich naturę, muszą żyć gromadnie, i po za gromadą ostać się nie mogą — podobnież i człowiek, mocą tej samej konieczności, żyje w społeczeństwie, i po za społeczeństwem, w stanie całkowitego odosobienia, żyć nie może.

Badając naturę ludzką w jej różnorodnych objawach, a oraz warunki społecznego bytu, pod względem ich oddziaływania na naturę ludzką, przekonywamy się, że te jej w niczem nie ograniczają, działalności jej nie zacieśniają, polotu jej nie tłumią, a przeciwnie nadają jej moralnym żywiołom potęgę, do jakiej dojść by nie mogły, zostawione w stanie odosobienia. Ogniwem przeto łączącem jednostki w społeczne ciało nie jest ofiara, poświęcenie, wymuszone na egoizmie; ale potrzeby natury ludzkiej, nad któremi żadna wola ludzka zapanować nie potrafi, instynkta i skłonności serca ludzkiego, stanowiące o charakterze i moralnej jego wielkości.

Historja, podająca nam autentyczne świadectwa o stanie ludzkości w epokach najoddaleńszych, etnografja żbierająca szczegóły o życiu i stanie człowieka na całym obszarze kuli ziemskiej, zaglądająca w najmniej znane a nawet w nieznane całkiem zakątki świata, — jednozgodnie przedstawiają nam człowieka żyjącego w społeczeństwie. I nietylko rozumowanie, ale samo nawet doświadczenie prowadzi do przekonania, że człowiek po za obrębem społeczeństwa przestaje być człowiekiem, istotą rozumną i wolnej woli, że stan odosobienia jest dla człowieka niepodobieństwem, że towarzyskość jest jego stanem naturalnym. Dodać tu potrzeba, że jeżeli cała istota człowieka ciąży ku społecznej całości, jako ku swemu punktowi oparcia, to głównem ogniwem, wiążącem ludzi w organizm społeczny, siłą, dająca temu organizmowi życie i potęgę, jest duchowa strona człowieka, są czynniki głowy i serca ludzkiego. Jakoż zniżony do stanu zwierzęcia, ograniczony w swych potrzebach do instynktów ciała, człowiek mógł by jeszcze sobie wystarczyć, mógłby się obejść bez współdziałania innych — co jest koniecznem i niezbędnem dla tego, by wywołać do bytu ów świat trzeci, osobny od świata ducha i materji — świat wiedzy i instytucyj ludzkich.

Jest to pierwszy i najgłówniejszy z owych pewników, do jakich nauka po całowiecznych błąkaniach się i poszukiwaniach, robionych poomacku, doszła w wieku XIX. nadając jego cywilizacji kierunek, osławiany przez idealistów wszelakich odcieni za materjalny, a w rzeczy będący naturalnym wypadkiem pragnienia urządzenia się pod względem społeczno-politycznym tak, jak tego natura rzeczy wymaga.

Drugim pewnikiem, wypływającym bezpośrednio z pierwszego, a będącym takiejże samej wagi i doniosłości, jest, że wszystkie stosunki ludzkie, wszystkie związki społeczne w zasadzie swej mają pewne prawa, według których układać się i rozwijać muszą.

Prawda ta dostrzeżona najprzód w zakresie stosunków materjalnych, w sferze działalności ekonomicznej, w odniesieniu tak do produkcji narodowego bogactwa, jak i do jego podziału, w kolei czasu została zastosowaną do badań nad prawem ustanowionem. Obok szkoły metafizycznej, i drugiej, która całkiem opierała się na powadze pandektów Justynjanowych, powstała nowa szkoła historyczna, wyszukująca wskazówek do prawa ustanowionego w życiu samem, jak ono się wypowiedziało w swych dziejowych objawach. Tąż drogą poszła nauka polityki, mająca za przedmiot swój formę rządu i stosunek jego do społeczenstwa.

W obec tego kierunku czasu, w obec usiłowań rozumu ludzkiego skierowanych ku zbadaniu warunków życia i właściwości natury ludzkiej, pierwszorzędne zajmuje dziś między naukami miejsce: antropologja, czyli nauka o człowieku w ogóle i nauki społeczno-moralne. Pierwsza opiera się w swych wywodach na danych, dostarczanych przez etnografję, że zamilczymy o anatomji i fizyologji; drugie na statystyce, która za pomocą cyfr arytmetycznych oznacza sytuację społeczeństwa pod wszystkiemi w ogóle względami, i na podstawie rachunku prawdopodobieństwa wskazuje ścisłą zależność moralno-umysłowego stanu jednostki od stopnia kultury narodu, a oraz stosunek tej ostatniej do warunków kraju geograficznych i astronomicznych. Ostateczne rezultaty, do jakich statystyka pod kierunkiem Quellet'a doszła, są zatrważającego charakteru; noszą bowiem wszystkie cechy nieugiętego fatalizmu, ciążącego nad ludzkością, i swym ciężarem rozgniatającego jednostkę. Tablice zbrodni i przestępstw dokonanych dowodzą, że od tej lub innej sytuacji socjalno-politycznej narodu, zawisłym jest nie tylko stale oznaczony charakter zbrodni i wykroczeń, ale nawet ich ilość, w przecięciu do jednakich cyfr dochodząca. Spostrzeżenie to atoli, przerażające pod względem swych następstw moralnych — po głębszem zastanowieniu się nad niem przestaje zatrważać i niczego innego nie dowodzi, jak że życie człowieka pojedyńczego rozwija się pod warunkami, które on w narodowym organizmie znajduje, upływa pod okolicznościami, które oddziaływając na wolę jednostki, na jego uczucia i zasób wiedzy, tem większą nabierają siłę fatalnego wpływu na człowieka, im mniejszą napotykają w nim potęgę woli, mniejszą energję uczuć, niższy stopień oświaty. Tylko istoty niedołężne, chorobliwe, niezdolne do walki z zewnętrznym naciskiem, nieumiejące wyjść z kolizji, w jakiej stawi ich życie, ulegające skłonnościom i wrażeniom doraźnym chwili — padają ofiarą tej fatalnej konsekwencji życia, tej niechybnej loiki wypadków świata ludzkiego.

I nie gdzie indziej potrzeba szukać zaradczego środka przeciwko temu fatalizmowi ludzkiego społeczeństwa, jak w ulepszeniu instytucyj socjalnych i politycznych, jak w rozpowszechnieniu oświaty. O ile pierwsze, stawiąc jednostkę we właściwem jej naturze położeniu, dostarczając jej wszelkich zgodnych z jej przeznaczeniem warunków, służą nie tylko rękojmią dla niej przeciwko wszelkim nadużyciom, łamiącym wolę ludzką, rozbudzającym zgubne dla społeczeństwa namiętności; ale nadto, oddziaływając w sposób dodatni, są energicznym bodźcem do postępu pod względem moralnym i umysłowym — o tyle oświata, rozszerzając zakres wiedzy, objaśniając naturę i znaczenie żywiołów życia, stawi jednostkę na punkcie samodzielnego o sobie decydowania, rozwija indywidualność, stanowiącą najwyższe przeznaczenie człowieka w tem życiu. Im głębiej wiedza fundamentalnych warunków życia przeniknie w masę ludzkości, im silniej zakorzeni się w sercach ludzi przekonanie o istotnem człowieka przeznaczeniu — tem prędzej ludzkość zbliży się do epoki, w której, jeżeli nie będzie panować wieczna i bezwarunkowa szczęśliwość, zato ustali się harmonja społecznych żywiołów, równowaga między społeczeństwem i jednostką, i najściślejsza solidarność tej ostatniej z rządem, co wszystko stanowi konieczne warunki dlatego, by jednostka, będąca celem

wszystkich społecznych związków, mogła się rozwinąć wszechstronnie i zająć stanowisko istoty, obdarzonej rozumem i wolną wolą, jak powiada katechizm o zasadach religji rzymsko-katolickiej. *Wł. Kozłowski.*

Paryż, 7. grudnia 1867 r.

Rozmaitości.

* W niedzielę palmową wykonano w teatrze, oratorjum Hajdna p. t. Stworzenie świata, co niepospolicie świadczy o muzykalnych siłach Lwowa. O ileż lepiej utwor ten mógłby być wykonanym, gdyby udział przyjęli znakomitsi artyści tak ze Lwowa jak i z Galicji, których zgromadzać dla podobnych arcydzieł i podejmować się ich wykonania jest obowiązkiem „Towarzystwa muzycznego.“

„Towarzystwo“ snać czuło swoje upokorzenie, że nie z jego inicjatywy i bez udziału jego członków wykonano „Stworzenie,“ zapowiedziało koncert nadzwyczajny (*Stabat mater* Rossiniego), ale... zmuszonem się widziało koncert ten odłożyć na później...

* Teatr p. Sztengla rozpoczyna przedstawienia po świętach w Stanisławowie.

* Teatr p. Woźniakowskiego znajduje się w Brodach.

* Otwarta została we Lwowie nowa księgarnia, skład nót i rycin pod firmą: G. Seifarth i D. Czajkowski w rynku głównym l. 50.

* Muzeum starożytności szlązkich zaczęło wydawać „Wizerunki książąt szlązkich (przeważnie z rodu Piastów) z wieków średnich“ (Schlesische Fürstenbilder des Mittelalters herausgegeben von Leuchs).

* Offenbach pisze nową operę p. t. *Księżna z Trebizondy.*

* Technik krakowski pan Grodzicki otrzymał na całą monarchję austrjacką przywilej wyłączny wynalazku oszczędzania gazu, i zastosowania go do płomieni gazowych tak przy oświetleniu, jak ogrzewaniu gazem mieszkań i gotowaniu na gazie. Założył on w Wiedniu wielki skład wszelkiego rodzaju przyrządów, w których dla powyższych potrzeb zaprowadzoną jest oszczędność gazu. Profesor Kletzinski w Wiedniu miał publiczny odczyt o tym wynalazku oszczędzenia gazu, i wykazał, że narządy pana Grodzickiego zapewniają zupełne wypalanie gazu i przy równem świetle oszczędzają 36 do 40% gazu. Taka oszczędność pozwala używać gazu do ogrzewania mieszkań i przyrządzania jadła. Piece gazowe zdolne są ograć średni pokój za pół godziny przez spalenie 45 stóp sześciennych gazu. Garnki z narządem gazowym pozwalają ugotować obiad na stole tak jak się gotuje kawa lub herbata na samowarze. Za $^2/_5$ centa można zagotować aż do kipienia kwartę wody.

* Wyszedł podwójny numer „Chochlika“ odznaczający się, jak zwykle, dowcipem i udatnemi rycinami. Cena 20 centów.

* Grób święty w Jerozolimie odnawiany jest pod przewodnictwem dwóch budowniczych: francuzkiego i moskiewskiego, a kosztem Francji, Moskwy i Turcji. Odbudowanie kopuły szybko postępuje, i jest nadzieja, że na nadchodzące święta Wielkanocne będzie ukończone. Odnowienie to pomnika, obchodzącego cały świat chrześcjański nim postanowione zostało, było przedmiotem dyplomacji; wzajemne ustępstwa zgodnie rzecz urządziły, tak, że ani napisy, ornamenta nie mogą drażnić przekonań jakiego wyznania chrześcjańskiego, i nikt w służbie około świętego budynku nie będzie miał przywileju wyższego nad innych. — Przy wejściu do kościoła leżały od czasów niepamiętnych dwie kupy kamieni zacieśniające przystęp. Patrjarchowie grecki, armeński i łaciński zgodzili się na usunięcie tych zawał, a władze tureckie zezwoliły na to. Przy wykonaniu odpowiednich robót odkryto grobowiec jednego z rycerzy francuzkich, współczesny krucjatom. Wedle herbów i napisu na kamieniu grobowym, dosyć jeszcze czytelnego, spoczywa pod nim Filip d' Aubigny.

* W Londynie budują dwa nowe teatra.

* „Matica Dalmatyńska“ liczy obecnie 371 członków, i ma majątku 25.000 złr.

* Wezuwjusz bucha nieustanne dymem, ogniem i lawą. Wieczorem przedstawia śliczny widok. Bywa, że słup ognisty wznosi się do wysokości 1500 stóp. Strumienie lawy grożą okolicy. Miasteczko Buonanotte w Abruzach zasypane zostało przez oberwanie się góry.

* We Francji wynaleziono nowe bomby, które rzucone pękają bez hałasu i rozpuszczają taką woń, że cały pułk może zasnąć na kilka godzin, podczas czego może być rozbrojonym i wziętym w niewolę. (?!)

* W Rzymie na konsystorzu tajnym z dnia 13. marca papież mianował tylko dziewięciu kardynałów, tak iż jeszcze 10 braknie do liczby pierwszych książąt, to jest 72. Między mianowanymi znajduje się ks. Łucjan Bonaparte, protonotarjusz apostolski, urodzony w Rzymie 15. listopada 1828. Nowo mianowani kardynałowie skoro odebrali wiadomość o ukończonym konsystorzu, zaczęli przyjmować wszystkich dygnitarzy duchownych i świeckich, ciało dyplomatyczne i w ogóle wszystkich pragnących złożyć powinszowania nowym purpuratom. Kobiety jak czytamy w „Tygodniku Katolickim,“ przybywały w przyzwoitym stroju t. j. niewygorsowane, a mężczyźni w mundurach. Kardynał Bonaparte przyjmował w pałacu Colonna, czyli mieszkaniu cesarskiego posła francuzkiego w towarzystwie hrabiny de Sartiges, małżonki posła. Cesarz Napoleon z wielkim przepychem kazał to przyjęcie odbyć, liberje lokajów, niezwykle bogate, przysłano z Paryża. Kardynał Łucjan przyjmował gości z osobliwą grzecznością i wdziękiem. Licząc zaledwie 39 lat, na mniej jeszcze wygląda. Jest tedy bardzo młodym na kardynała, owszem najmłodszym członkiem świętego kollegjum. Podobieństwo jego do wielkiego Napoleona jest zdumiewające; zdaje się, że pierwszy konsul wystąpił z ram obrazu Dawida lub Rafała Morghena i że przywdział purpurę rzymską. Osobom, które mu winszowały wysokiej kościelnej godności, jakiej dostąpił, odpowiadał jednostajnie: „Módlcie się za mną.“ Gdy w parę dni później pewien dostojnik rzymski odwiedził go rano w jego pałacu przy placu Weneckim i wdał się z nim w górną polityczną rozmowę, kardynał Bonaparte, jako mąż całkiem duchowny a nie dyplomatyczny, odpowiedział mu w sposób wcale nie licujący z oczekiwaniem gościa, który mniemał, że dla bratanka potężnego cesarza tajniki gabinetów otworem stoją. Nareszcie już odchodził, gdy go kardynał zawrócić kazał. Dostojnik przekonany, że książę purpurat zdobył się nakoniec na ważną jakąś komunikację o losach Rzymu, i że nie chce go puścić nieoświeconego, z radością i pośpiechem wrócił do gabinetu; ale niemałe było jego zdziwienie, gdy kardynał rzekł mu: „Przepraszam cię przewielebny panie, że cię zawracam; ale zapomniałem o wielką, o osobliwą łaskę cię poprosić...“ „Jestem najposłuszniejszym sługą Waszej Cesarskiej Wysokości, zawołał dostojnik, i będę się miał za uszczęśliwionego, jeżeli mię raczysz zaszczycić rozkazami swemi...“ „Otóż błagam cię panie, odparł książę Łucjan, abyś mię raczył polecić Najwyższemu w modłach twoich i westchnął za mną do Boga.“ Kiedy nowo mianowani kardynałowie we wielkiej formie odwiedzali groby śś. Piotra i Pawła, ogromna moc ludu towarzyszyła im w tej pielgrzymce. Z wielkiem nabożeństwem wszyscy modlili się przed grobem śś. apostołów, a kardynał Bonaparte rozpłakał się podczas tych modlitw. Kardynał Łucjan Bonaparte, którego już naznaczają przyszłym kandydatem na papiestwo, jest synem Karola Łucjana, a wnukiem Łucjana Bonapartego brata Napoleona I. i Zeneidy córki Józefa Bonapartego króla hiszpańskiego. Urodził się jak wspominaliśmy 1828. Napoleon III. był jego ojcem chrzestnym, a Pius IX. wyświęcał go na kapłana. Dopiero kilka lat temu cesarz Napoleon powołał go do Paryża i nadał mu tytuł członka rodziny cesarskiej. Rodzeństwem kardynała są: Julia margr. Roccagiovine; Karolina hr. Primoli; Marja hr. Campello; Augusta księżna Gabrielli i Napoleon ożeniony z księżniczką Ruspoli. Cała więc ta gałąź Bonapartych jest więcej włoską niż francuzką.

Dodatek: **Tablica wzorów.**

TREŚĆ:

Wydawca i odpowiedzialny za redakcję: Kornel Piller.

Druk Kornela Pillera.